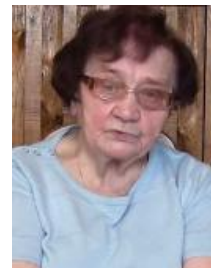


JANINA MARSZAŁEK

ur. 1936; Radłów



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, szkolnictwo, życie codzienne, praca w szkole, praca nauczyciela, problemy wychowawcze

Praca w szkole społecznej

Kiedy mnie przyjmowano do pracy, kiedy zaczynałam pan kurator mi powiedział: „Ja panią przyjmę do pracy, ale ja muszę zatrudnić wszystkich innych po innych uczelniach. Jeśli będzie wolne miejsce, to panią przyjmę”. I ja zaczęłam pracę ósmego września i ten ósmy wrzesień tak się ciągnął, te osiem dni tak się za mną ciągnęły. Ja zostałam z miejsca zwolniona po ukończeniu pięćdziesięciu pięciu lat. Prosiłam: „Proszę pana, proszę mi pozwolić osiem dni dopracować, żebym miała trzydzieści lat pracy”. Wtedy przysługiwała nagroda, zupełnie inne odejście po trzydziestu latach, a inne po dwudziestu dziewięciu. Powiedział mi pan kurator: „Proszę pani, po piętnastu latach odchodzą, a pani po dwudziestu dziewięciu”. Ja mówię: „Tak, ale po piętnastu nikt już nie dopracuje do trzydziestu lat, a osiem dni można dopracować”. „Nic mnie to nie obchodzi”. Odeszłam. No i rozpoczęłam pracę w szkołach, bardzo szybko. Bo właściwie chyba zaraz w tym roku, tylko że też nie od pierwszego września, jakoś tak się poskładało, że w szkole społecznej koleżanka pracowała i mówi: „Ty słuchaj, u nas odchodzi pani i jest wolne miejsce”. I ja poszłam do pracy do szkoły społecznej. To była pierwsza szkoła społeczna założona w Lublinie na ulicy Herbowej. Pani Pleskot, która była wieloletnim pracownikiem kuratorium, założyła tą szkołę i ja w tej szkole pracowałam. Trzeba jej [wystawić] wiele pozytywnych ocen. Młodzież była dopilnowana, niewielkie klasy, dużą wagę przywiązywało się do pracy w szkole, do języków. Ale stopniowo ta młodzież przyjęła taką postawę, że ona jest wyżej ponad innymi. Ponieważ oni są w małych klasach, oni płacą. I rodzice tak zaczęli do tego podchodzić, że oni płacą, wobec tego oni są z wielu spraw zwolnieni. Może w tej chwili tego nie ma w szkołach, nie mam rozeznania. W tych szkołach społecznych pracowałam przez dziesięć lat. To znaczy, mówię w szkołach społecznych, ponieważ pracowałam równocześnie też w szkole, która przy Akademii Medycznej została założona przez dwie panie prawniczki i

jednego pana z Akademii Medycznej. No to już było bez porównania z tamtą szkołą. Bo to były osoby, które nie miały pojęcia o szkole, o pracy w szkole, nie miały pojęcia nawet o dokumentacji, jaka obowiązuje w szkole. Kiedy zapytałam o dziennik, o arkusze ocen, to one były zdziwione, że coś takiego w ogóle jest w szkole. Tu chodziły dzieci bardzo bogatych osób, które płaciły i właściwie uważały, że one jak zapłacą, to już są zwolnione. Dużo osób było ze Świdnika, z okolic takich podmiejskich, nowobogackich. I to była bardzo trudna praca, bo tu już nie można było nic wymusić, nic wykrzesać. Jak w szkole tamtej prywatnej młodzież przywiązywała do tego wagę i rodzice przywiązywali wagę do nauki, to tutaj rodzice właściwie złożyli wszystko na szkołę. Ja pracowałam tam tylko pół roku i po śmierci męża w 1995 roku podziękowałam, odeszłam. Bo nie było możliwości wiązać się. Zresztą ta szkoła upadła. Wracając do tej szkoły społecznej, tam mam tylko żal do rodziców, to znaczy źle powiedziałam żal, może, że rodzice tak bardzo ufali swoim dzieciom. To znaczy w jakim sensie ufali, że kiedy się powiedziało: „Proszę pana, proszę zwrócić uwagę na to, czy na tamto”, to rodzic się obrażał. „Moje dziecko jest idealne. Co pani ma do powiedzenia na ten temat? Ja jestem z dzieckiem i ja wiem”. A dziecko inaczej się zachowuje w domu, inaczej w szkole, w grupie. I nieraz właśnie, mimo wysiłków z mojej strony, takich wysiłków, które zmuszały ich do tego, że oni czasami powinni się zachowywać inaczej. Ja na przykład organizowałam wyjazd z nimi do kawiarni. Część osób przyjęła to, że właściwie może i tak trzeba. Miałam umówioną kelnerkę, która pokazywała, tłumaczyła, w jaki sposób należy się zachować w kawiarni. Część rodziców akceptowała, ale część była oburzona, jak to, co ta nauczycielka sobie wyobraża. Kiedy widziałam, że oni są tacy bardzo przyzwyczajeni do luksusu, prowadziłam [ich] do szkoły dla niewidomych, żeby zobaczyli, jak uczą się i jak dzieci w szkole niewidomych muszą pracować. To zaakceptowali, że właściwie trzeba może to tak pokazywać. Ale tak jak mówię, rodzice nie przyjmowali, że dziecko może zachowywać się inaczej, jak zachowuje się w domu, a dziecko zachowuje się inaczej. Różne rzeczy wtedy przeżywałam momentami, bo ja chciałam idealnie pewne rzeczy ustawić, a nie zawsze się dało. Dziesięć lat przepracowałam w tych szkołach społecznych, to mi bardzo podniosło emeryturę. Pani płaciła ubezpieczenie, wszystko to dołączone zostało do emerytury. A było mi to potrzebne, bo akurat jak przesłam na emeryturę z liceum, to przesłam przy bardzo wysokiej ilości godzin, dużą ilość godzin wtedy miałam, bo tak się złożyło, że jedna z pań zachorowała i dyrektor nie chciał [nikogo] zatrudniać, bo mówi: „Ona może w każdej chwili wrócić. Weź te godziny”. Ja miałam półtora etatu. Niestety, pan Kuroń i pan Buzek wprowadzili pewne regulacje i obcięli mi prawie połowę emerytury, tysiąc złotych z emerytury straciłam po trzech miesiącach. I bardzo mi tutaj w tym pomogła właśnie ta szkoła społeczna. Nie powiem, że jakoś tak bardzo źle wspominam szkołę społeczną. Tylko tyle, że właśnie wyszłam z Unii, gdzie ta młodzież była taka może dorosła i oni tak się potrafili w pewnych momentach zachować. Natomiast tutaj było ciągle między rodzicami a mną, przy próbie zwrócenia uwagi, nawet nie publicznie, tylko w

rozmowie, to ciągle właśnie był taki problem, że ja za dużo wymagam, że to jest niesłusznie i tak dalej. Później się jednak okazało, że miałam rację. Ale to już było za późno, bo ja już odeszłam i przeszłam zupełnie na emeryturę.

Data i miejsce nagrania	2019-05-13, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"